Jesteś tak blisko, tak niedaleko, że niemal czuję Twój ból. Moje serce wywęszyło strach. Nie spodziewałam się dziś Ciebie w tych stronach; przychodzę tu, aby uchronić przed samotnością moje myśli, pośpiesznie wyrzeźbione w białym oddechu poranka. Zjawiam się, aby nasycić uczucia, jak zwykle próbujące się wymknąć i odbiec w nieznane. Te emocje… do skończenia świata pozostaną równie żywe, równie przesycone lękiem i płodnością. Nie odpuszczą nawet wtedy, kiedy oswoję się z tutejszym światłem, kiedy pomodlisz się w moim imieniu.

Jesteś. Jesteś do bólu obecny. Jakimś cudem odnalazłeś drogę; a wiem, że jest bardzo kręta i grząska, z paroma odnogami wiodącymi w nieznane. W nieznane, którego wypada się bać, choćby dla przykładu. Nie pytam, jak tego dokonałeś, bo cieszę się na Twój widok. Tak dawno Cię nie widziałam – szczególnie Twojej nostalgii za tym, co udaje się tylko nielicznym, o czym marzy każdy rozkwitający człowiek. Twoje sny – do niedawna tak mi dobrze znane – stały się nagle odległą niewiadomą. Obcym językiem, którego nikt nie zdołał dostatecznie opanować. Aż po grzbiet horyzontu sięga czarna chmura mojej krwi, wyszarpnięta spomiędzy warg niczym unicestwienie wszystkich żalów i cierpień.

Proszę, nie dokarmiaj mojej melancholii, dokarmianie jest tutaj srogo zakazane. Rzucanie głodnym myślom chleba słów grozi kalectwem bądź – o dziwo – śmiercią. Zanim padnie definitywny rozkaz, aby opuścić niebo, wszystkie gwiazdy zbiegną się, abyśmy ochronili ich kradziony blask. Nie sądziłam, że są aż tak sprytne – szukają ochłody dla swoich rozżarzonych czół. Odkąd melancholia zaczęła niebezpiecznie kwitnąć, dając mlecznobiałe owoce, każdy z nadzieją w miejsce pestki. Ujmuję za szypułkę ten owoc i kuszę Cię jego miąższem, wrzącym pod lekko rumianą skórką. Ty jednak jesteś bystry – obiecujesz, że nie spóźnisz się z dzisiejszym snem. Przysięgasz, że dopadnie nas fatum, jeśli tylko obudzimy w sobie nowy wszechświat, jeśli wzniesiemy katedrę na tyle strzelistą, żeby pomieściła wszystkie nienaganne modlitwy.

Nie ma nic dziwnego w umieraniu; świat tańczy dalej, wirując niezmiennie wokół własnej osi. Słońce jak zwykle nie spóźnia się do pracy, księżyc – pijany śmiertelnie – uchyla srebrne oko i podpatruje nasze nieskromne spojrzenia. Odszukałeś pośród pośmiertnych życzeń to jedno pragnienie, by istnieć wbrew szczęściu. Szczęście bowiem jest przegraną sprawą – kończy się, zanim zdążyło rozpocząć. Dlatego też nie ufam uśmiechniętym ludziom; ich rozlazłym uśmiechom. Człowiek szczęśliwy jest istotą wielce podejrzaną. Życie bowiem nie oswaja człowieka z radością. Każdy dzień, chociaż skrupulatnie wyśniony, pławi się w ubóstwie nietrafionych westchnień, nadmiernych wyrzutów sumienia.

Błagam, wskrześ dla mnie choć raz źródło nieskromności. Chciałabym wywęszyć Twoją mdłą pieszczotę, choć raz zadedykowaną specjalnie dla mnie. Niestety, ledwie napoczęta pogarda nie pasuje do tutejszych wzorców. Czerń i biel skłócają się ze sobą, pomiędzy nimi rośnie tylko dzika, wątła trawa Twojego sumienia. Ślady odczepiły się od Twoich pięt, ciągnąca się za Tobą ścieżka prowadzi nas do miejscowego czyśćca. Wiemy bowiem, że zostaniemy powitani chlebem i solą. Dzisiejszego poranka będziemy tam specjalnymi gośćmi.

No tak. Wróciłeś. Ciepły, letni wietrzyk roztrąca płowe pasma Twoich włosów; podnosisz rękę i odruchowo natykasz kosmyk za ucho. Mrużysz szmaragdy oczu, jakbyś usiłował dostrzec coś, co tak trudno jest wypatrzeć, co kryje się poza dalekosiężnym wzrokiem. Nie pomagają Ci nawet okulary – otaczający świat powleczony jest nieusuwalną mgiełką. Rozchylasz usta, tak podobne świeżym malinom, zebranym Bożą ręką w tutejszym lesie; usiłujesz coś powiedzieć, ale żadna myśl nie pozwala się obłaskawić. Aby

zyskać na czasie, przygryzasz dolną wargę.

Aby dodać animuszu pragnieniom, aby zapewnić Cię o dozgonności urojeń, stawiam parę kroków w Twoją stronę. Moje nagie stopy zapadają się w miałkim, niezwykle jasnym i gorącym piasku. Tuż obok szumią od niechcenia morskie fale; są tak nienaturalnie przejrzyste, że można dostrzec żwirowane dno. Wyżej, wysoko nad naszymi myślami, na złowieszczo lazurowym firmamencie, króluje nie słońce, a błękitna planeta. Jest ciepło, nienaturalnie gorąco jak na tę porę roku. O dziwo, ramiona tutejszych drzew nie poruszają się na wietrze, który podrywa się od czasu do czasu do biegu.

Jestem, dzieli nasz kilka tchnień. Wiatr nie przestaje bawić się Twoimi blond włosami. Tym razem to ja podnoszę ramię i odgarniam niesforny pukiel z Twojego wysokiego czoła. Kiedy zamierzam wycofać dłoń, chwytasz w ostatniej chwili mój nadgarstek. Nie pytając o pozwolenie, składasz pocałunek na przegubie. Czuję muśnięcie warg, delikatnie niby dotyk skrzydełek ćmy.

Jak długo tu na Ciebie czekałam? Chyba od początku wszechświata. Nie wiem, mogę się mylić o kilka dekad. Wiedziałam, że powrócisz – widzę ten pozłocisty refleks na szmaragdowej tęczówce. Twoje wargi, z pozoru niewinne, układają się w idealny, choć nieoswojony uśmiech. Pozwalasz sobie, żeby objąć mnie w talii i przygarnąć ku sobie na tyle blisko, żebym usłyszała Twoje płochliwe westchnienie. Przez dłuższą chwilę wpatrujesz się w mój ciemny wzrok. W końcu przesuwasz opuszkami palców po delikatnej skórze policzków. Dostaję dreszczy, gdy doświadczam pieszczoty. Przymykam oczy pragnąc, aby było tak już do końca…

[CIĄG DALSZY NASTĄPI]

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

KatarzynaKoziorowska, dodano 27.11.2021 10:39

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.